

Wieczór był zimny, wilgotny, mglisty, jak jeden z tych niekończących się wieczorów listopadowych, kiedy człowiek zapomina niemal, że istnieje słońce, a wiosna wydaje się niesłychanie odległa. Piąty lutego roku dwa tysiące sto pięćdziesiątego ósmego nie należał do przyjemnych: krople deszczu spływały po szybie pojazdu, oślizgła wilgoć lgnęła do wszystkiego wokół, mgła tłumiła mdle światła ulicznych latarni.

Pojazd zajmowała tylko jedna osoba. Młoda kobieta patrzyła przez okno. Zamyślona. Jej myśli uparcie krążyły wokół dzisiejszego dnia. Kilkunastu sekund, kiedy czas stanął, a wszystko w co wierzyła, co wiedziała, okazało się kłamstwem. Zza kolorowej kurtyny wyjrzała upiorna rzeczywistość. Na kilka sekund, zanim wszystko wróciło do normy.

To nic takiego. To tylko złudzenie. Powtarzała to sobie całe popołudnie i teraz, kiedy wracała do domu.

A jeśli nie? Co powinni zrobić?

Zamknęła oczy. Nie chciała o tym myśleć teraz. Potrzebowała odpoczynku. Wytechnienia. W nocy, podczas snu wszystko poukłada jej się w głowie, jak zawsze.

Każdy problem można przecież rozwiązać.

Ksiądz Piotr Dobrowolski siedział wygodnie w fotelu, pochłonięty lekturą. Już dawno odkrył, że nic go tak nie odpręża jak dobra książka. Dziś był to Oliver Twist Charlesa Dickensa. Prawie nie czuł ciężaru sporego, czarnego kocura, siedzącego mu na kolanach, ledwo łowił uchem głos siostrzeńca bawiącego się na dywanie. Sześciolatek Szymek składał właśnie najnowszego robota.

Nagle chłopiec krzyknął: ostry metalowy element skaleczył go w palec, kropla krwi splamiła zabawkę. Piotr strząsnął z siebie kota, zwierzę prychnęło. Ranka zniknęła od razu, jak zmazana staroświecką gumką-myszką. Piotr wytarł krew z palca dziecka i robota. Mały mógł bawić się dalej, bez troski, z jasną, pogodną twarzą, żaden cień nie padł na jego głowę, był bezpieczny w rodzinnym domu, sztucznym, lecz miękkim światłem oddzielony od chłodnej lutowej nocy, od deszczu i mgły na zewnątrz.

Alojzy Kawka obudził się w ciemności. Żółte neonowe światło wdzierało się do środka. W tej dzielnicy zawsze żółto, zawsze ciemno, zawsze mglisto. Nie było bólu. Codziennie wlewał w siebie hektolitry wódki w obskurnych barach, spelunkach zapomnianych przez Boga. Ich smród przyklejał się do niego, był już jego smrodem. Ale kac nie nadchodził. Kawka już o nim zapomniął, tak jak zapomniął o Ance. Nie czuł nic.

Półmrok zażółcony brudnym światłem, odór, twardy barłóg, wieczna noc, noc bez końca, dni mknące jak światło w czerń kosmosu. Nieuchwytnie. Mijają i już ich nie ma, już jest przyszłość. Nowe czasy.

- Kurwa! - Wrzasnął, by zakrzyczeć ciszę. Mały pies skulony w kącie drgnął, jakby spodziewał się kopniaka.

- Szprycha. - Kawka wstał, podszedł do psa, pogłaskał go.

- Pewnie jesteś głodna. Moja mała. Nakarmię cię. - Zdjął z półki puszkę z psią karmą, nałożył trochę do miski. Przyglądał się jedzącemu psu, siedząc na dawno niemytej podłodze.

- Jedz, Szprycha, jedz.

Tymczasem na zewnątrz gęstniał mrok.

Agata weszła do domu wraz z chłodnym podmuchem wiatru.

- Mama! Wróciłaś! - Szymek wtulił się w matkę, zanim zdążyła zdjąć płaszcz.

- Hej, mały. Tęskniłam za tobą. Co słychać? Tata jeszcze nie wrócił?

- Nie. Wujek pomagał mi złożyć robota. A Tomek ma Superniuchacza, kupisz mi, ja też chcę!

- Masz już mnóstwo robotów, na razie wystarczy.

- Ale mamoo...

- Porozmawiamy o tym później, dobrze? - Przywołała na twarz uśmiech, w myślach powtarzając sobie, że nic się nie stało, wszystko w porządku.

- Daj mi się rozebrać. Lekcje odrobione? Byłeś grzeczny?

Piotr przeciągnął się, aż chrupnęły stawy.

- Aha. Wybiegałem go, nakarmiłem i zagoniłem do lekcji. Co tam w pracy?

- Jak to w pracy, nic ciekawego. Całe popołudnie siedziałam w papierach. - Zaśmiała się trochę zbyt nerwowo.

Znikąd przybiegły koty, pomrukując i miaucząc zażądały jedzenia. Nie można odmawiać kotom, zwłaszcza, gdy tak ładnie proszą, nakarmiła je, po czym usiadła na fotelu obok brata.

Zapatrzyła się w przestrzeń, w ciemną szybę przed sobą, mokrą od deszczu. Szymek wrócił do zabawy.

Piotr spojrzał na siostrę, młodą trzydziestoosmioletnią dziewczynę o jasnej gładkiej cerze, ciemnych włosach, na progu długiego życia, które ją czekało. Czy myślała o stuleciach, mających upłynąć, czy o paskudnej pogodzie za oknem? Pewnie o tym drugim, bo po powrocie z pracy w zimny lutowy wieczór ludzie nie rozmyślają o sprawach ostatecznych tylko o tym, żeby wreszcie odpocząć. Łatwo przywyknąć do dobrego, a to, że czas przestał upływać tak nieznośnie szybko, że było go o tyle więcej, zdawało się dobre.

- Zmęczona?

- Co? - Drgnęła. - Ach tak, trochę. To ta pogoda, jest tak szaro, przygnębiająco. Mogłaby już przyjść wio-

sna.

- Przyjdzie. - Wyłączył czytnik. - Krzysiek zaraz wróci z wywiadówki. - Nie odpowiedziała, przytaknęła tylko.

- Na pewno wszystko w porządku?

- Tak, jasne. To naprawdę tylko ta pogoda...

- No tak, pogoda... - Andromeda, ruda kotka, wskoczyła Piotrowi na kolana.

- Co mała? Najadłaś się, futrzaku?

Drzwi otworzyły się, wysoki, chudy jak trzcina blondyn wpadł do środka.

- No, jestem.

- Tata!

- Byłeś grzeczny? Odrobiłeś lekcje? Masz batonika. - Codzienny rytuał uścisków, śmiechów, powitań.

- Co słychać?

- Wykończą mnie ci rodzice. Nie wiem, dlaczego wciąż w szkołach organizują wywiadówki, jakby nie było Internetu.

Jasne, pastelowe kolory, niezbyt jaskrawe światło. Żadnych cieni. Wszyscy uśmiechnięci.

Piotr pomyślał, że musi wracać, oczy same mu się zamykały, a rano trzeba wcześniej wstać.

- Pójdę już. Miło było, ale muszę lecieć. - Wstał, włożył czytnik do kieszeni sutanny. Andromeda, rzucona tak brutalnie, prychnęła i poszła do miski, sprawdzić, czy jeszcze coś w niej zostało.

Złożył płaszcz wśród życzliwych pożegnań i podziękowań. „Dobrze mieć kogo odwiedzać.” pomyślał.

- Odprowadzę cię kawałek. - Krzysztof ubrał się pośpiesznie, jak ktoś, kto musi wyjść natychmiast, iść przed siebie, daleko, bo oszaleje.

Wyszli. Agata zagoniła Szymona do spania, odpędzając niepokój, udając, że nie widziała dziś tego, co zobaczyła.

Piotr z Krzysztofem szli prawie pustymi ulicami. Piotr nigdy nie wzywał auta, kiedy odwiedzał siostrę i szwagra, droga nie zabierała mu więcej niż piętnaście minut, wystarczyło przejść kawałek Głęboką, potem Sowińskiego, potem skręcić w Aleje Racławickie, by znaleźć się przy Kościele Garnizonowym.

Krzysztof nadawał tempo maszerował szybko, stawiając długie kroki, Piotr ledwo za nim nadążał. Zimna mgiełka osiadała im na twarzach, mijały ich liczne elektroauta: nadjeżdżały i odjeżdżały, nie wiadomo, dokąd. Latarnie nadawały wszystkiemu odcień ciemnopomarańczowy, luna świeciła nad miastem, zamiast gwiazd - światła w oknach wieżowców, coraz liczniejszych, pnących się pod niebo jak rośliny nie z tego świata. Kosmiczne statki mknęły w mrok lub spływały z chmur w poszukiwaniu lądowiska. Pod

ścianami budynków przemykały podobne do olbrzymich owadów, zawsze dyskretne roboty.

- Zwolnij wreszcie! Goni cię kto?

- Przepraszam, zamyśliłem się. - Piotr zerknął na szwagra ukradkiem. Zawsze był czuły na nastroje innych, pewnie między innymi dlatego został księdzem.

- Na pewno?

- Na pewno. Co mnie tak wypytujesz?

- Ja...

- Dobra, nieważne. Nie chciałem być niemiły.

- Wiesz, o czym myślałem? - Zapytał Krzysiek po chwili milczenia, mijali właśnie UMCS z gigantycznym holograficznym pomnikiem Marii Skłodowskiej-Curie.

- O czym?

- O indyku. Pieczonym indyku. Kiedy ostatni raz jedliśmy coś takiego?

- Chyba w dzieciństwie. - Piotr uśmiechnął się na samo wspomnienie.

- Prawdziwy indyk, nie ta papka. Pyszne, delikatne, gorące mięso. Rodzina zebrana przy stole, razem, indyk pośrodku, paruje świeżo wyjęty z piekarnika. Chyba można je dostać na czarnym rynku. Jedlibyśmy go razem, Agata, Szymek, ja. Zaprosilibyśmy cię...

- Byłoby miło.

- Cholernie miło! Przepraszam...

- Jestem księdzem, nie Archaniołem Michałem. Powiedz dlaczego... Coś się dzieje? Jakiś taki jesteś...

- Jak uprzykrzony giez. Tak mawiała moja babka, świętej pamięci. To nic, Piotrek, jestem zmęczony, nosi mnie coś.

- Każdego czasem nosi.

- No właśnie. Dobra, Piotrek, wracam. Jutro do roboty. Wpadnę do ciebie w tygodniu, ok? Pogadać.

- Wpadaj, kiedy chcesz.

- No, to cześć.

- Cześć. - Podali sobie ręce, Krzysztof zawrócił, niemal zniknął we mgle.

Alojzy Kawka musiał wyjść. Zwlókł się z barłogu. Szprycha zapiszczała cicho, podrapał ją czule za

uchem.

- Zostań małeńka zaraz wróć.

Szprycha zrozumiała, będzie czekać, zwinięta w kłębek na swoim posłaniu.

Brak na Starym Mieście mokry, Kawka ślizgał się na kamieniach, tłumiąc przekleństwa. Tłumy ludzi zmierzających donikąd, on między nimi, na nikogo nie patrzył, nikt nie spojrzał na niego. Ludzie niepotrzebni, bez zajęcia, bo czy bogowie pracują? Oddawali się rozrywkom, coraz to nowym, coraz bardziej nieludzkim: zwłaszcza tu, na Starym Mieście, pełzali w mroku, podobni do istot z horrorów.

Śmiech. Krzyk. Płacz. Muzyka. Dym z papierosów.. Ktoś na kogoś wpadł.

- Hej, uważaj, jak leziesz!

- Sam uważaj! - W tej okolicy nietrudno o bójkę, przyspieszył kroku.

W Bramie Krakowskiej obdarty chłopak grał na gitarze, długa broda, zmierzwił włosy, obojętność na twarzy. Kawka rzucił mu piątkę. To była ulubiona piosenka Anki.

Wieża Trynitarzka. Trzy lata temu: krótki lot w dół, trzask pękających kości. Wstał i poślizgnął się na własnej krwi.

- Hej, gościu, ostrożnie. Po co to zrobiłeś, koleś?

- Musiałem.

Chciał sprawdzić, czy to prawda, czy rzeczywiście nie umrze. Nie umarł, nie mógł umrzeć. Może powinien był odlecieć, nie na Marsa czy Europę, ale daleko, do innych gwiazd. Zasnąć na sto, dwieście, trzysta lat. Obudzić się jako inny człowiek, w obcym świecie byłoby inaczej. Albo nie.

Jednak nigdzie nie poleciał, za to spotkał bliźniaków. Oni ofiarowali mu wolność. Już niedługo jego udręka dobiegnie końca.

W Bewatronie, obskurnym pubie na Ruskiej panował ścisk, zaduch niemal niemożliwy do zniesienia, gwar zachrypniętych głosów. Kawka z trudem znalazł wolny stolik. Sączył ohydne syntetyczne, bezalkoholowe piwo. Spojrzał na zegarek. Przyjdą czy nie?

Przyszedł tylko jeden z nich. Usiadł przy stoliku Kawki. Nic nie mówił, oglądał coś w swoim czytniku. Kawka czekał, nie odważył się odezwać.

Obcy położył na stoliku niewielkie pudełko i wyszedł. Kawka schował chusteczkę do kieszeni. Opuścił pub jakieś piętnaście minut później.

Przez okno wpadały promienie słońca. Niebo błękitne, bez jednej chmurki, pogoda zmieniła się, teraz

zrobiło się niemal wiosennie.

Piotr siedział w fotelu, rozkosznie wygodnym, jakby stworzonym dla niego, patrząc na krzątającą się kobietę. Wyjęła z szafki dwie filiżanki - białe cudenka w czerwone różyczki, nalała do nich wrzątku i wrzuciła do każdej kawową kapsułkę. Opowiadała o swojej córce i wnuku. Był to stały temat jej rozmów z Piotrem, długich monologów, przedmiot nieustającej tęsknoty. Pięć lat wcześniej odlecieli do kolonii, na planetę krążącą wokół jednej z wielu gwiazd o niemożliwych do zapamiętania nazwach katalogowych, astronomowie nie nadali jej jeszcze imienia.

Chcieli ją zabrać ze sobą, ale ona nie mogła się zdecydować i w końcu została. Bała się - tej całej hibernacji: mówią, że to nic takiego, zasypiasz, a potem się budzisz, daleko od domu, Bóg wie, gdzie. A jakby się nie obudziła? Albo nie mogłaby zasnąć? Chociaż nie wszyscy chcieli zasnąć, niektórzy ponoć czuwali, ale czy ona by tak mogła? Poza tym, tu był jej dom. Tu leżała mamusia...

Zięć się wściekał. On zawsze był wściekły na coś albo na kogoś. Nie cierpiała bubka! Ale Alusia... Alusia i Jasio. Tak bardzo za nimi tęskniła. Czasem niemal żałowała, że nie poleciała. Może była tchórzem?

Podawała filiżankę Piotrowi, usiadła naprzeciwko niego w identycznym fotelu.

- W czasach mojej młodości kawa była lepsza. Ksiądz pewnie nie pamięta?

- Coś tam pamiętam... - Upił łyk. Gorące.

- W ogóle kiedyś wszystko było inne. I picie i jedzenie. I ludzie. - Uśmiechnęła się smutno.

- Świat ciągle się zmienia. Czasem trudno za nim nadążyć.

Kobieta piła powoli, z namysłem. Milczeli, oboje małomówni, nie potrzebowali zagłuszać zapadłej między nimi ciszy słowami. Ksiądz Piotr odwiedzał panią Konstancję mniej więcej raz w miesiącu, podczas tych spotkań opowiadali sobie o tym, co istotne i milczeli o tym, co nie wymaga słów.

Niewielu zostało takich ludzi, Piotr w każdym razie mało takich spotkał, którzy widzieliby w nim przede wszystkim człowieka, większość uważała go jedynie za przedstawiciela określonej instytucji, głosiciela konkretnego światopoglądu, budził w nich niechęć lub, znacznie częściej, obojętność. Czuł się przez to coraz bardziej osamotniony, jak rozbitek dryfujący po oceanie na naprędce skleconej tratwie. Świat go nie potrzebował.

- Wyglądam dokładnie tak samo, jak dwadzieścia lat temu. Nie zmieniłam się ani trochę. - Pani Konstancja odstawiła filiżankę. - Czy tak powinno być, czy to dobre dla nas? Ja uważam, że nie. Człowiek powinien widzieć upływ czasu na twarzy, inaczej może zapomnieć, kim tak naprawdę jest. A ksiądz jak sądzi? - Patrzyła na niego, jakby chciała za wszelką cenę wyciągnąć z niego odpowiedź, zajrzeć mu do mózgu, do duszy, jakby to było ważne, co on myśli.

- Ja... nie wiem. Może pani ma rację może jest tak, jak pani mówi. Nie umiem pojąć tego wszystkiego, to mnie przerasta.

- Przerośliśmy samych siebie i nie umiemy siebie dogonić.

- Tak, chyba tak.

- A co na to Bóg?

- Wszyscy mnie o to pytają: czy tego chce Bóg? Co Bóg mówi? A ja nie mam pojęcia. Myślę, że nie chce nam się narzucać. Nigdy nie chciał.

- Szkoda.

- Szkoda?

- Może byłoby łatwiej?

- Łatwiej nie znaczy lepiej.

- Nie... Smakowała księdzu kawa?

- Tak, dziękuję, była znakomita, choć z kapsułki. A teraz już pójde, muszę wpaść do Centrum, robota wzywa. - Wstał z niechęcią, nie miał ochoty dziś pracować w podziemiach w taki ładny dzień.

- E, robota nie zając, nie ucieknie! Ale niech ksiądz idzie, niech idzie. Tylko niech wpadnie znowu! - Wstała również, odprowadziła go do drzwi.

- Wpadnę, na kawę i pogadać. Do zobaczenia!

- Do zobaczenia. Dziękuję, że mnie ksiądz odwiedził.

- To ja dziękuję, pani Konstancjo. - Pierwszy raz nazwał ją po imieniu. Roześmiała się.

- Nikt mnie tak nie nazwał od dnia ślubu. Wszyscy mówili na mnie Kostka. Proszę księdza, czy...

- Co takiego?

- Ech nic, już nic. Czasem głupie rzeczy przychodzą człowiekowi do głowy.

- Może wcale nie takie głupie.

- Może. Może następnym razem pogadamy o głupich rzeczach. Albo o pogodzie. Do widzenia Bóg zapłać.

- Do widzenia. Niech... Bóg panią błogosławi.

Wyszedł z wieżowca w słońce, jeszcze nie wiosenne, ale już nie do końca zimowe.

Na przystanku elektrobusu na Tysiąclecia nie było żywej duszy. Światło słoneczne odbijające się w oknach wieżowców raziło w oczy, elektroauta rozchlapwały wodę w szaleńczym pędzie, wciąż naprzód, do celu, gdziekolwiek on się znajdował.

Piotr patrzył na pojazdy i przechodniów, spacerował w tę i z powrotem, czekając.

Jego uwagę zwrócił krzyk: dwóch mężczyzn kłóciło się zajadle po drugiej stronie ulicy, wymachiwali rękami, podobni do walczących małp. Nagle jeden popchnął drugiego na jezdnię: popchnięty wpadł pro-

sto pod rozpędzony samochód. Pisk opon. Piotr chciał biec na pomoc. Tymczasem poszkodowany mężczyzna wstał, otrzepał ubranie, po czym odszedł, krzycząc coś, co zagłuszył szum pojazdów. W tej chwili nadjechał elektrobus, Piotr wsiadł, zapominając o całym zajściu, teraz myślał już tylko o pracy.

Elektrobus jechał ku granicom miasta, mijał kolejne przystanki, długi, podobny do gąsienicy, zmierzał przed siebie z niehumanitarną cierpliwością, tylko po to by zawróciwszy przebyć tę samą trasę po raz kolejny, i tak dzień w dzień, według rozkładu.

Blisko wyjazdu z Lublina apartamentowce ustąpiły miejsca starym, szarym blokom, czekającym na wyburzenie: stały przy ulicy podobne do żebraków, bez nadziei na przyszłość, bez wartej wspomnień przeszłości.

Piotr wysiadł na ostatnim przystanku jako jedyny pasażer, poza granicami miasta. Stanął przed niewysokim, białym budynkiem w kształcie kopuły. Po sprawdzeniu przez czytnik siatkówki wszedł do środka. Poszedł pogrążonym w półmroku korytarzem, na którego końcu znajdowała się winda: obok, na ścianie umieszczono otwór, włożył do niego rękę. Drzwi windy otworzyły się i Piotr, śledzony czujnym okiem kamery, wszedł do środka.

Kilometry podziemnych korytarzy, rzędy przeszklonych szaf wysokich do sufitu, wypełnionych próbkami. tysiące komputerów, monitorujących zawartość próbek.

Agata wpatrywała się w monitor. Na ekranie widziała umieszczoną w próbce dziewczynkę, nie większą niż mały palec u ręki dorosłego człowieka. Obcy nazywali je „wytworem” lub „darem”, ludzie „świętymi”.

Nikt dokładnie nie wiedział, w jaki sposób, ale „święci” przejmowali na siebie wszelkie uszkodzenia ludzi, z którymi łączyła ich dziwna więź, nieuchwytna dla ludzkiej nauki. Każdy żyjący człowiek miał swojego „świętego” od poczęcia już zawsze. Zniknęły choroby, starość, śmierć.

Obcy przybyli piętnaście lat temu z odległej galaktyki, jednej z wielu widocznych na zdjęciach zrobionych przez kosmiczne teleskopy.

Ofiarowali ludzkości dar, vitalinę, materię, łączącą się z każdą inteligentną istotą na planecie. Im nie była już potrzebna: opuścili swoje materialne ciała, by istnieć jako czysta świadomość gdzieś w innym wymiarze.

Agata badała długofalowe skutki połączenia ludzi i „świętych” oraz samą jego istotę - dlaczego vitalina łączy się tylko z ludźmi oraz jak identyfikuje poziom świadomości, z którym można dokonać połączenia?

Badania posuwały się do przodu bardzo wolno, by nie rzec, że stały w miejscu. Obcy odmawiali pomocy, według nich Wszechświat był bardzo prosty, lecz aby pojąć tę prostotę, należy przebyć długą drogę, samodzielnie, bez chodzenia na skróty.

Agatę interesowało również inne zagadnienie: jak połączenie wpływa na vitalinę?

Z zewnątrz „święci” stanowili idealne kopie ludzi, ich „ciała” jednak były złożone z identycznych ułożonych w niebywale uporządkowany sposób molekuł, nie przypominały budową organizmów żywych, nie posiadały komórek ani organów, „święci” przypominali lalki ulepione z jednolitej masy. Vitalina nie

wykazywała żadnej aktywności chemicznej ani elektrycznej poza momentami tak zwanego wchłaniania: kiedy ktoś zachorował albo uległ wypadkowi, wzrastał nieznacznie poziom promieniowania u odpowiedniego „świętego”, kiedy uszkodzenia powstałe u człowieka znikwały. Napisano o tym całe tomy, jednak wciąż nikt nie rozumiał tego fenomenu.

Agata nie umiała więc pojąć tego, co zobaczyła poprzedniego dnia. Ta sama „święta”, na którą patrzyła teraz, wczoraj otworzyła oczy, poruszyła się, wykrzywiła twarz w niemym grymasie bólu, a na jej czole pojawił się spory siniak.

Trwało to krótko, ułamek sekundy, ale nie było przywidzeniem, nie mogło być, choć nie istniały żadne dowody, wszystkie odczyty w normie, żadnych zmian, nawet na poziomie subatomowym, nic.

A jeśli jednak niczego nie widziała, jeśli nie może ufać swoim zmysłom?

- Hej, siostra! - Agata drgnęła, nie słyszała kroków.

- Cześć. Co się tak skradasz?

- Wcale się nie skradam! Coś ciekawego?

- Nie, chyba nie.

- No to lecę do siebie. Na razie.

- Piotrek?

- Tak?

- Dzięki. Za wczoraj.

- Nie ma sprawy. Zawsze do usług, zwłaszcza dla mojej małej siostrzyczki! - Uśmiechnął się i odszedł do innej części laboratorium. Agata wróciła do pracy.

Alojzy Kawka siedział przy stole w swoim pokoju, sącząc powoli zimną wodę z poplamionej szklanki. Przez brudne okna wpadały promienie słońca, w których wirowały obłoki kurzu. Szprycha spała na niepościelonym łóżku, ogonem odganiając jakąś za wcześnie obudzoną muchę.

Kawka od czasu do czasu wkładał rękę do kieszeni, upewniał się, że „to” wciąż tam jest.

Był niespokojny. Czy plan się powiedzie? Może to oszustwo, głupi żart, jak taki pyłek mógłby pokonać Obcych, przybyłych nie wiadomo, skąd?

Odstawił szklankę, jęknął.

Już niedługo wszystko się skończy, musiał w to wierzyć, tylko taka wiara mu została, dodawała mu siłę.

Miał dość.

A inni?

Nie myślał o tych wszystkich ludziach, rozsiewających się po kosmosie, oni przecież także nie myśleli o nim, ci których jego los obchodził choć odrobinę, już dawno odeszli. Postanowił zapomnieć o reszcie.

Podszedł do okna, nie zobaczył nikogo na wąskiej uliczce, tylko cień w oknie domu naprzeciwko. Szprycha zaszczeakała przez sen. Kochane psisko. Nie pozwoli, żeby coś jej się stało.

Spojrzał na zegarek. Zostały dwadzieścia cztery godziny.

Zapadał zmierzch. Słońce zachodziło, oświetlając miasto krwawą poświatą, czerwone światło odbijało się w oknach starych, stłoczonych na małej powierzchni jak stado owiec zapędzone w ślepy zaułek kamieniczek i otaczających je ze wszystkich stron wieżowców. Po niebie mknęły ciemne kształty, statki powietrzne kursowały pomiędzy miastami, ponad ledwo widoczną w dole ziemią, nad budowlami przypominającymi z góry kopce mrówek.

Ulicami sunęły stada aut elektrycznych oraz elektrobusów, chodnikami spieszili przechodnie.

Krakowskim Przedmieściem szła dziwna procesja: grupa około pięćdziesięciu osób w długich czarnych płaszczach z kapturami.

Niektórzy przystawali na ich widok, inni przyspieszali kroku.

Ktoś coś krzyknął, ktoś inny się roześmiał, śmiech jednak po chwili zamarł.

Błysnęły noże.

Zakapturzone postaci rzuciły się na ludzi, uderzali innych i siebie nawzajem.

Krzyk.

Po bruku płynęła krew.

Mężczyzna śmiejący się wcześniej, teraz trzymał się za brzuch, rana krwawiła obficie.

Ludzie uciekali.

Czarna postać runęła na kobietę, wbiła jej nóż aż po rękojeść. Towarzysz dziewczyny wyrwał nóż napastnikowi, dźgnął.

Przez kilka minut panował chaos.

A potem wszystko ucichło.

Postaci w czarnych, zakrwawionych płaszczach zaintonowały dziwną, monotonną pieśń.

Rany goiły się.

Umarli powstawali z martwych.

- Cholera, to już trzeci raz w tym miesiącu!

- Kochanie, nic ci nie jest?

- Moja sukienka! Zniszczona! Szlag!

- Powinni zrobić coś z tym tałatajstwem!

- Wywalić w próżnię!

Błysnęły niebiesko-czerwone światła policyjnych kogutów.

A oni wciąż śpiewali.

Piotr siedział sam w pustym kościele wypełnionym przez półmrok; zmierzchało, ostatnie promienie słońca wpadały przez witraże, paliła się tylko wieczna lampka.

Niedawno skończył odprawiać mszę; jedynym obecnym na niej człowiekiem był, oprócz księdza, dziwny młody mężczyzna.

Zjawił się podczas Kyrie, głos księdza Piotra, jasny i czysty, zabrzmiał jak grom, odbijając się echem od ścian, wtedy skrzypnęły drzwi, wszedł nieznajomy.

Stanął dokładnie na środku, w blasku zachodu, uśmiechnięty, klaskał, niezrażony panującą dookoła ciszą.

Piotr nie wiedział, co robić, jak zareagować, czy wezwać pomoc, poprosić szaleńca, żeby wyszedł?

Ostatecznie nie zrobił nic, ekscentryczny gość opuścił świątynię, kiedy msza dobiegła końca.

Piotr nie miał ochoty wracać na plebanię, dzieloną jedynie z proboszczem. Często przesiadywał tu sam, rozmyślając, zadając pytania wciąż pozostające bez odpowiedzi.

Całe życie pomiędzy mrokiem a jasnością, ciszą a zgiełkiem.

Zawsze lubił samotność. Gdy zbyt ciążyła mu obecność innych ludzi, wsiadał na rower, jechał do parku albo jeszcze dalej, poza miasto, wędrował po łąkach za jedyne towarzystwo mając owady i zabłąkane psy.

Czasem dołączała do niego Agata, rozumiała go, choć tak wiele ich różniło - on milczący, pogrążony we własnych myślach, ona otoczona ludźmi, roześmiana. A jednak gdzieś głęboko w sobie musiała mieć ten pierwiastek milczenia, ucieczki od świata, razem z bratem szwendała się po bezdrożach, dzieląc z nim ciszę.

Między innymi dlatego tak chętnie przystał na propozycję wuja Tomasza, by odwiedził go na Europie, gdzie wuj badał miejscowe organizmy.

Mało ludzi. Spokój kosmicznej przestrzeni, daleko od Ziemi.

Miał siedemnaście lat, zaczynały się ostatnie wakacje jego młodzieńczej beztroski, niedługo miał wybrać, co dalej. Sądził, że na pokrytym lodem oceanie Europy będzie mu łatwiej podjąć decyzję. A może chciał tylko odsunąć wybór na później?

Poleciał.

Wuja Tomasza zapamiętał jako bardzo zwyczajnego człowieka - przeciętny mężczyzna w średnim wieku, o przeciętnych osiągnięciach. Całe dni spędzał, wpatrując się w widoczne na ekranach, śledzone przez liczne kamery, fantastyczne stworzenia, przypominające nieco ziemskie meduzy, węże lub ryby - wszystkie ślepe, żyjące w ciemności od miliardów lat. Teraz obce sondy wtargnęły do ich świata przez lodową skorupę, niosąc ze sobą światło, pokazując to, co dotąd było zakryte.

Ciekawość.

Piotr często towarzyszył wujowi w tych seansach, słuchał opowieści o przedziwnych stworach. Istoty te fascynowały go swoją prostotą. Ile takich stworzeń zamieszkiwało kosmos? Wszechświat należał do form prostych, tak prymitywnych, że mogły obywać się bez tego, co niezbędne organizmom bardziej złożonym. Może człowiek to tylko przyrodnicza anomalia, kosmiczne kuriozum, jego istnienie - ułamek sekundy w skali Wszechświata, zniknie, nie pozostanie po nim żaden ślad, a te małe żyjątka będą trwać. Tak wtedy rozumował, jego przemyślenia wydawały mu się bardzo głębokie, filozoficznie dojrzałe.

Wuj Tomasz zabierał Piotra do laboratorium, gdzie badał miękkie, galaretowate ciała, klasyfikował, nazywał, oglądał pod mikroskopem - zajrzeć głębiej, widzieć więcej, rozebrać na czynniki pierwsze: tego pragnęła grupka uczonych zamknięta w bazie numer dziewięć na jednym z księżyców Jowisza. Zobaczyć niewidzialne dla oka, objąć czystym rozumem świat od najmniejszych drobin po ogrom kosmosu. Jakże to było piękne! Wuj Tomasz stał się dla Piotra mentorem, mistrzem, wprowadził go w sterylny świat probówek i mikroskopów, w świat wiedzy.

Czasem wychodzili na powierzchnię. Lód. Ciemność. Jowisz przesłaniający sobą niemal cały horyzont. Bezmiar przestrzeni ponad nimi. Choć mieli na sobie niewygodne kombinezony chroniące przed promieniowaniem oraz próżnią, czuli się swobodnie. Tomasz oddychał ciężko, szedł powoli, zgarbiony. Opowiadał coś, pokazywał, a niekiedy po prostu milczał.

Piotr z trudem dostosowywał swój krok do powolności wuja. Chciałby biec przed siebie, jakby coś go goniło. A należało uważać, o wypadek nie było trudno.

Piotrek odwrócił się do wuja, którego trochę wyprzedził. Nagle runął. Stracił grunt pod nogami. Lód pękał.

Coś trzymało wciągało go pod wodę, coś silnego, mięsistego oplatało jego nogę i wlokło za sobą w głębinę. Próbował się wyswobodzić, ale na próżno.

- Piotrek! Piotrek!

- Wujku! - Z trudem zapanował nad głosem.

- Namierzamy cię! Wysłaliśmy sondę! Trzymaj się! - Trzask.

Cisza. Znow trzask. Jakiś głos, niewyraźny, Piotrek nie rozróżniał słów. Spojrzał w górę, lecz niczego nie był w stanie dostrzec z powodu ciemności. Czuł bicie własnego serca, krew pulsującą w skroniach, przyspieszony oddech. Kiedy zmiażdży go ciśnienie?

Minęła wieczność.

Nie wiedział, co się stało. Nagłe szarpnięcie i ból nodze, nagle uwolnionej z uścisku morskiego potwora. Coś chwyciło go za rękę i pociągnęło ku górze. Zemdlął.

Przytomność odzyskał dopiero kilka tygodni później, w ziemskim szpitalu.

Ból niemal rozsadzał mu czaszkę, pomimo pompowanych w niego środków przeciwbólowych.

Na przemian tracił i odzyskiwał świadomość.

Kiedy sonda wyciągnęła go z wody, w jego nodze tkwił spory kolec jadowy - utknął w skafandrze w taki sposób, że nie dopuścił do wycieku powietrza.

Zwierzę, które go porwało, było znane jako jadowity wąż europejski: na ogonie miał żądło sączące neurotoksynę w ciało ofiary. Nigdy nie widziano, by zapuszczał się w rejon baz naukowych. Piotrek miał wyjątkowego pecha.

Cudem przeżył, jednak całkowicie stracił wzrok oraz słuch.

Niewiele teraz pamiętał z pierwszego miesiąca po wyjściu ze szpitala. Zazwyczaj przesiadywał w swoim pokoju, tam czuł się bezpiecznie. Czas mijał mu niedostrzegalnie, pogrążony w ciszy i mroku nawet nie wiedział, czy jest sam, czy ktoś przyszedł do niego.

Może drugiego albo trzeciego dnia pobytu w domu poczuł na ramieniu dotyk, ktoś wypisywał na jego skórze litery słowa, zdanie. „Kocham cię.”

To była Agata. Matkę poznawał po miękkości jej ciała, gdy go ścisnęła, ojca po dużych, szorstkich dłoniach. Agatę po zapachu jej ulubionych perfum. Przynosiła mu kwiaty, owoce, pisała mu na ciele słowa, opisywała świat.

Miesiąc później wszczepili mu do mózgu implanty, dzięki czemu mógł częściowo odbierać bodźce słuchowe i wzrokowe: widział rozmazane kształty, słyszał ciche, przytłumione głosy. Żył tak trzy miesiące, nie bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić.

A potem przylecieli Obcy i wszystko się zmieniło: Lustra Obcych w każdym mieście, w każdej ludzkiej kolonii, Obcy i ludzie razem na zawsze.

Znowu skrzypnęły drzwi kościoła. Ktoś wszedł do środka, usiadł w ławce obok Piotra.

- Krzysiek! Co się stało? - Ubranie Krzyśka oraz a także jego ręce, były poplamione krwią.

- E, nic. Nieważne. - Machnął ręką.

- Nie zaprosiłbyś mnie do siebie? Pić mi się chce. W gardle mi zaschło.

- Chodź, napijemy się. - Wstali i powoli, nie spoglądając za siebie, wyszli na zewnątrz.

Biała kakadu.

Kawka zawsze wołał zwierzęta niż ludzi, łatwiej mu było je zrozumieć. Jeśli pokochają to na zawsze, jeśli warczą, to mogą ugryźć. Żadnych dwuznaczności.

Od dzieciństwa karmił bezdomne psy, koty, ptaki, węże, wszystko, co biegło, latało lub pełzało. Ludzie byli zbyt obcy.

Nawet Anka. Mimo wszystko.

Miał dwadzieścia lat. Spotkał ją na pierwszym spacerze po wyjściu ze szpitala psychiatrycznego, gdzie trafił po próbie samobójczej.

Właściwie nie czuł się szczególnie nieszczęśliwy, po prostu nie miał ochoty żyć. Przypominał człowieka na początku nieskończenie długiej drogi, wiodącej przez pustynię; wokół tylko piach, żar pali skórę, ani chwili wytchnienia, nie wolno się zatrzymywać, a przecież chcesz usiąść tylko na chwilę, w oazie pod palmą, przy źródle i napić zimnej wody.

Tego potrzebował: oazy.

Ona pisała wiersze.

Usiadła obok niego na ławce w parku, nie zapytała, czy można, po prostu usiadła i zaczęła coś pisać w małym notesiku.

Potem rozmawiali. Używała wielu słów, nie wszystkie rozumiał, ona wyjaśniała, on potakiwał.

Odwiedzał ją w jej mieszkaniu. U niego matka zawsze zatroskana, zaglądałaby do pokoju proponując herbatę, martwiąc się i ciesząc na przemian.

U niej spokój, cisza. Oaza.

Biała kakadu w klatce zwisającej z sufitu. Karmili ją, ona trzepotała skrzydłami, zbawnie przekrzywiała łepki.

Myślał, że tak będzie zawsze, ale Anka odleciała na jedną z nowych kolonii. On nie chciał lecieć, bał się uwięzienia w niewielkiej, młodej społeczności, bez możliwości powrotu: na Ziemi łatwiej zniknąć, zająć się tylko sobą. Na co kolonistom co ktoś taki jak on?

Poleciała. Pożegnał ją na kosmodromie, prom lśnił w promieniach słońca, gdy odlatywał, błysnął i zniknął, wielki statek czekał na orbicie, niewidoczny. I to by było na tyle.

Kawka wrócił do domu, jego matka zmarła niedawno na zawał. Została mu tylko biała kakadu.

Pewnego ranka znalazł ją martwą, leżała w klatce z rozłożonymi skrzydłami. Wyjął ją ostrożnie, ułożył w

pudełku, zakopał nocą w parku. Nie chciał jej oddawać do utylizacji.

Kawka żył dalej, bo cóż miał zrobić?

Dzień po dniu bez celu. Skończył studia. Brał leki.

Został paleontologiem, całkiem niezłym.

Tamtego pamiętnego dnia piętnaście lat temu pracował na Syberii. Tylko ziemia i niebo. Rześkie powietrze, nadciągała jesień, szykowali się do powrotu.

Wstał wcześniej, jeszcze przed świtem. Spacerował po stwardniałej ziemi.

To pojawiło się znikąd. Wysokie na trzy, szerokie na półtora metra lustro. Odbicie jego zdumionej, przerażonej twarzy: „Chryste, oszalałem!” pomyślał.

Chciał uciekać, ale nie mógł się ruszyć.

Usłyszał własne słowa, potoki, rzeki, wodospady słów: mówiło jego odbicie, choć on sam milczał.

Fonemy, sylaby, słowa, zdania, wymieszane ze sobą, szatański bełkot, smutek, żal, pustka, radość, cześć, spierdalaj, dzień dobry, czy zastałem Ankę, mamó, daj spokój, dziękuję, przychodzi baba do lekarza, być albo nie być, Litwo, Ojczyzno moja, plejstocen, kambr, ordowik, kochać, nienawidzić, rodzić, zabijać; deklinacje, koniugacje...

Wreszcie koniec, poczuł, że upada. Tymczasem jego odbicie wciąż stało wyprostowane, sztywne, jakby niepewne swego ciała.

Kawka w ostatnim przeblysku świadomości usłyszał słowa wypowiedziane jego własnym głosem:

Witajcie Ziemianie! Przybywamy w pokoju.

- Proszę mi dokładnie opowiedzieć, co pani widziała. Mamy zapis z pani stanowiska z wczorajszego dnia.

- Od jak dawna wiecie? Bo wiecie, prawda? Dlatego mnie pani wezwała. Wcześniej nie byliśmy monitorowani. - Agata stała przed biurkiem profesor Romańskiej, szefowa lubelskiego Centrum zsunęła z nosa okulary i spojrzała na Agatę sponad szkieł.

- Od miesiąca. Mniej więcej. Ale nie chwalimy się tym.

- Inne ośrodki? Ile było wszystkich przypadków?

- Inne ośrodki zostały dyskretnie sprawdzone przez Ministerstwo Do Spraw Kontaktów Z Obcymi. Wykryto sześć przypadków w całym kraju, sto na świecie. Mamy nic nie robić, nic nie mówić, czekać. - Profesor odwróciła się do monitora.

- Czy oni w ogóle zdają sobie sprawę z tego, z czym mamy do czynienia?
- A pani, pani doktor, wie z czym mamy do czynienia? - Romańska znów popatrzyła na Agatę, jednocześnie gładząc w roztrzaskaniu krótkie, jasne włosy.
- W ciele świętej, którą badałam zaszły zmiany strukturalne i chemiczne, wykryłam aktywność elektryczną w mózgu. To trwało około sześćdziesięciu sekund, potem wszystko wróciło do normy.
- I co to, według pani, oznacza, hm?
- Sądzę, że ona poczuła ból. Cierpiała. Czy ci inni święci...
- U nich reakcja na bodziec również trwała tylko przez chwilę, jeśli o to pani pyta. Późniejsze doświadczenia i obserwacje niczego nie wykazały. Nie wykluczamy nieznanymi anomalii.
- A jeśli to będzie się rozszerzać? Utrwalać? Może pod wpływem połączenia z ludźmi vitalina zmienia swoje właściwości?
- Wtedy święci będą cierpieć za nas. Tego się pani boi? Na razie trzymajmy się faktów a nie spekulacji, dobrze? A fakty...
- Ona patrzyła na mnie, pani profesor. Cierpiała, bała się...
- To pani interpretacja, tak naprawdę niczego nie wiemy. Nie wiemy, co się wydarzyło, ani czy rzeczywiście stało się coś istotnego.
- To odkrycie...
- To odkrycie. Pani odkrycie! No, między innymi pani... Jest ważne, epokowe, i tak dalej. Zmieni kształt świata. Zmusi nas do podjęcia pewnych kroków. Oni czują ból. Może jutro rozwiną świadomość? Tak pani myśli, prawda? I słusznie się pani boi. Jest czego. Jeśli ma pani słuszność.
- Ale... A co mówią Obcy? Ktoś z nimi rozmawiał?
- Coś pani opowiem, dobrze? Mogę?

Agata kiwnęła głową.

- Kiedy Obcy przybyli, byłam mniej więcej w pani wieku. Nie dokonałam niczego wielkiego. Byłam dobra, ale nie miałam szczęścia. Wiodłam nudne życie naukowca niebezpiecznie zbliżającego się do wieku średniego. Czas mijał. Rutyna. Badania, konferencje, granty. Brakowało mi czegoś. I wtedy pojawiły się lustra.
- I dały pani to coś?
- Z początku tak mi się wydawało. Obcy z innej galaktyki, z innego wymiaru, ich wiedza. Vitalina - lek na wszelkie choroby, rany. Nieśmiertelność. Tyle możliwości. Wszystko, czego chcemy, wystarczy tylko sięgnąć. I sięgnęliśmy. Wzięliśmy to, co nie nasze, co oni nam ofiarowali, dali nam, bo im zbywało.

Profesor wstała, odwróciła się do ściany.

- Nigdy nie lubiłam pracować pod ziemią. Brakuje tu okien, słońca, świeżego powietrza. A pani? Lubi pani to miejsce? - Zapytała tak, jakby naprawdę chciała wiedzieć.

- Nigdy nie zastanawiałam się nad tym. Zawsze staram się skupić na pracy.

- Tak, może... Może tak być powinno... Ale wróćmy do tematu. Należałam do jednego z pierwszych zespołów badających vitalinę. Produkt przemiany materii Obcych, połączony z nimi, naprawiający uszkodzenia. Jak coś takiego mogło pojawić się w toku ewolucji? Jak działa? Wciąż nie mamy pojęcia. Tak, powstała teoria przepływu Blocka, ma to coś wspólnego z mechaniką kwantową. Rozumie ją może dwadzieścia osób w Układzie Słonecznym i w koloniach, a i tak stanowi, jak słyszałam, jedynie pewne przybliżenie. Rozmawialiśmy oczywiście z Obcymi, oni są bardzo chętni do kontaktu. Ja także rozmawiałam z nimi. Tak... Opowiedzieli mi mnóstwo rzeczy o sobie, planetach, które zasiedlili, gdy jeszcze mieli ciała, swojej nauce i technologii. o gwiazdach... O tym, czego nie mieli - nie posiadali języka, sztuki. Na co one istotom o wspólnej jaźni? By sens miał język, musi istnieć jakieś „ja” i jakieś „ty”, ktoś, kto nadaje i ktoś, kto odbiera, odczytuje sens komunikatu - sztuka to też forma komunikacji (to tak w dużym uproszczeniu). Kiedy wróciłam do swojego gabinetu, olśniło mnie. Zrozumiałam jedną ważną rzecz. Oni mówili do mnie moim językiem. Używali pojęć, idei znanych ludzkości, ale obcych dla nich. Mówili o domu, ale czym jest dla nich dom? Czy kiedy Obcy w lustrze mówią „dom” mają na myśli to samo, co ja? Mówili o ranach, właściwie używali określenia „uszkodzenie”, czym rany były dla nich, jak można ich było zranić? Czy coś może ich zranić teraz - nie fizycznie oczywiście, ale psychicznie? Jak mogą zrozumieć, czym dla nas są rany? Ból? Złość? Miłość? Wie pani, co chcę powiedzieć? Wszystko, co o nich wiemy, przekazano nam w naszych ziemskich językach, jest zakorzenione w naszym, ludzkim postrzeganiu rzeczywistości. Nasze umysły są, pomimo różnic kulturowych oraz indywidualnych, dość podobne, należymy w końcu do tego samego gatunku. Homo sapiens. A oni? Oni są czymś... kimś innym.

- Chodzi o to, że nie znamy, nie rozumiemy ich tak naprawdę? Ich świat, to nie nasz świat, nasz Wszechświat, nie jest ich Wszechświatem, oni inaczej myślą. Używają innych struktur pojęciowych. My komunikujemy się i myślimy używając naszych struktur pojęciowych.

- A nasze oraz ich siatki pojęciowe są nieprzekładalne. Więc pytaniem otwartym pozostaje, czy w ogóle komunikujemy się z nimi? Oni próbują nam coś przybliżyć, my próbujemy przybliżyć coś im. I tyle. Nic o nich nie wiemy, wytworzyliśmy sobie o nich pewne wyobrażenia, które nie muszą odpowiadać prawdzie, prawda, istota natury tych stworzeń jest dla nas nieosiągalna, nie są w stanie wejść zbyt głęboko do naszych umysłów, choć mają zdolności telepatyczne. Może dlatego, kiedy z nimi rozmawiamy, widzimy swoją własną twarz. Może dlatego lustro. Oni muszą to wiedzieć, pewnie lepiej, niż my. Dlatego musimy radzić sobie sami, oni nie pomogą. Nie rozumieją. Powiedzmy, że poprosimy o przerwanie połączenia, bo „święci” cierpią. Jak wytłumaczyć im, czym jest cierpienie, skoro oni go nie poznali? Na razie nie poruszaliśmy tego tematu, czekamy na wytyczne. A pani? Była pani kiedyś na dole?

- Nie, nigdy nie dostałam pozwolenia.

- A chciałaby pani?

- Oczywiście!

- Załatwię pani zgodę. Rzecz jasna, nie wolno pani wspominać o ostatnich odkryciach. - Nacisnęła kilka

klawiszy, wysłała zgodę.

- Załatwione. Jest pani gotowa?

- Mam iść już teraz?

- Tak. Nie ma potrzeby tego odkładać, to dla pani ważne.

Agata wstała, złożyła krzesło, odstawiła je na miejsce.

- Pani doktor?

- Tak?

- Proszę zadać wszystkie pytania, nie dające pani spokoju. Ale proszę nie liczyć na sensowne odpowiedzi. Oni nie rozumieją pytań.

- Rozumiem. Czy mogę panią o coś spytać?

- A w jakim celu żyjemy, jeśli nie po to, żeby zadawać pytania?

- Ufa im pani?

- Nie wiem. Myślę, że nikomu ani niczemu nie można zaufać tak całkowicie. Nawet sobie.

- A co zrobimy z tym wszystkim? Jeśli mam rację?

- Nic nie zrobimy. My uczeni nigdy nie byliśmy od podejmowania decyzji. Jesteśmy jak narzędzia, precyzyjne, czasem przydatne, zwłaszcza, kiedy dzieje się coś, z czym poradzić sobie mogą tylko odpowiednio wytrenowane, zdyscyplinowane umysły. Decydują ci tam, na górze. A teraz proszę już iść. Mam mnóstwo papierkowej roboty.

Agata zamknęła za sobą drzwi i odeszła długim, białym korytarzem, pomiędzy rzędami komputerów oraz szaf z próbkami. Oczy „świętych” były zamknięte. Szła w stronę windy - specjalnej windy, mającej zawieźć ją jeszcze niżej. Czytnik siatkówki. Odcisk palca. Drzwi otworzyły się, winda pochłonęła ją, powiozła na spotkanie z nieznanymi Obcymi.

Światło w pokoju Piotra zapaliło się, kiedy weszli, a z głośników popłynęła muzyka - „Miserere” Gregorio Allegriego.

Krzysiek uniósł brwi.

- Niewesoły dziś jesteś. - Piotr miał czujniki nastroju dopasowujące muzykę do emocji osoby, do której były dostrojone. Książd dotknął przycisku w panelu na ścianie, Krzysztof zdjął i powiesił płaszcz.

- Dlaczego? To nie jest smutna muzyka, raczej pełna nadziei. Umyj się lepiej i powiedz, co się stało.

- Cholera, mam nadzieję, że nie nabrudziłem za bardzo... Przepraszam. - Pobiegnął do łazienki, próbował

zmyć z siebie krew. Kiedy wrócił, usiadł na drewnianym krześle, jednym z niewielu mebli w pokoju. Piotrowi pozostało jego własne łóżko.

Za oknem zapadła noc, nagie gałęzie drzew rozkołysał wiatr, słysząc było przejeżdżające auta, rzadziej kroki.

Piotr podał Krzysztofowi kubek herbaty, sobie też nalał.

- No to mów.

- Ech, niby nic takiego. Wszystko w porządku. Naprawdę. Tylko... Może po prostu sam nie wiem, czego chcę?

- Pokłóciliście się z Agatą? To znaczy, nie chcę się wtrącać...

- To nie to. Kilka dni temu dostaliśmy pismo. Dostaliśmy mieszkanie w jednym z tych nowych wieżowców na Czechowie. Przeprowadzamy się w kwietniu. Nasz dom i inne wyburzą, zbudują nowe wieżowce.

- Wiem, Agata mi powiedziała. To cię martwi?

- Widzisz, ja... Przywykłem do naszego domu. To było moje miejsce na Ziemi, w tym mieście. Widok z okna, sąsiedzi, wszystko znane, nasze. Jak można wyrzucać człowieka z jego domu? Słyszałem, że wkrótce będą przymusowo przesiedlać do kolonii, masz pojęcie? W dodatku jeszcze to! - Wskazał na poplamiony płaszcz, wiszący na wieszaku. - Odprowadziłem Szymka na szachy i siedłem do ciebie, kiedy spotkałem tych szaleńców. Nie wiem, która to była grupa, Dzieci Szatana, Szaleńcy Boga, Dzieci Krwi, nie wiem, oby ich wszystkich zesłali na Enceladusa. Rzucili się na ludzi z nożami, jeden gość, ranny, wpadł na mnie. Umierał na moich rękach, Piotrek! Jego martwe oczy wyglądały jak... jak u ryby. A potem ożył, rozejrzał się, wstał, przeprosił i poszedł sobie. Chyba nie rozumiem tego świata. Jak mam go objaśnić mojemu dziecku? Czasem patrzę na Szymona i boję się. Że stanie się dla mnie obcy. Ja pamiętam czasy sprzed Przybycia. Jakie będzie pokolenie, które nie pamięta? Kim my się stajemy, Piotrek? Nie musimy już nawet jeść ani spać, jemy te ohydne syntetyki, nasączone czymś tam, żeby spać, inaczej pewnie byśmy powariowali. Przystajemy być tym, kim byliśmy. Niedługo nie będziemy w stanie pojąć własnej przeszłości!

- Być może. Pewnie zapomnimy o niej, zabraknie nam wyobraźni. - Piotr odstawił swój kubek na stolik. Przez chwilę patrzył na sufit rozważając coś, a w tle grała cicho muzyka.

- Wiesz, Krzysiek - odezwał się znowu - pamiętam z dzieciństwa taką kobietę, sąsiadkę. Ta sąsiadka miała niepełnosprawnego umysłowo syna, mąż ich zostawił, kiedy dzieciak był malutki. Nie chciała oddać dziecka do ośrodka, ale nie dawała sobie z nim rady, bywał agresywny, baliśmy się go. W końcu przyjechała Opieka Społeczna, zabrali go siłą. Ta kobieta siadywała potem często na ławce, paliła jednego papierosa za drugim. To było okropne, tak siedziała, patrzyła, tylko patrzyła. Później miałem ten wypadek na Europie. Wróciłem do domu. Ja... byłem całkowicie załamany. Nawet po wszczepieniu implantów, niewiele mi one pomagały. Nawet myślałem, żeby... Nieważne. Nie lubię o tym mówić. - Wstał, podszedł do okna i opuścił roletę, w pokoju zrobiła się przytulniej. Dopił herbatę, prawie dobrą, usiadł.

- Pewnego dnia znowu zobaczyłem światło. Usłyszałem dźwięki: głosy ludzi, zwierząt, samochody, wiatr. Muzykę. Musieli wyłączyć implanty, bo mózg wariował. To był szok. Spotkałem też tamtą sąsiad-

kę. Jej syn wrócił do domu, normalny, inteligentny chłopak. Poszedł do szkoły. Odlecieli do którejś kolonii, więc straciliśmy z nimi kontakt. Ciekawe, jak sobie poradzili.

- Nigdy nie rozmawialiśmy o twoim wypadku. To przez niego zostałeś księdzem? - Krzyskowi została resztką herbaty, dawno wystygła, ale wypił ten ostatni łyk, jakby chciał przykryć niezręczność tego pytania.

- Tak, chyba tak. Potrzebowałem jakiegoś zakorzenienia w czymś bardzo, bardzo starym, kiedy wszystko się zmieniło. I nie chciałem być samotny. Sam w ciemności, w zupełnej ciszy. Kiedy wyzdrowiałem, byłem inny, przerażony, choć ukrywałem to. Lękałem się ciemności, którą mam w sobie. Opuszczenia. Po-tem skończyłem biologię i fizykę. Rzym wysłał mnie do tutejszego Centrum. Chcieli wiedzieć, z czym mamy do czynienia. Cóż, nadal nie mamy pojęcia.

- Tak, pamiętam te debaty, ostrzeżenia przed obcymi, którzy dali człowiekowi niemal boską władzę, oddalili od jedyne- go Boga. Kusiciele. Tylko, że tym razem nie wygnano nas z raju.

- No właśnie. Wracając do tematu, fizyczne cierpienie zniknęło, chorzy zostali uleczeni, jesteśmy nieśmiertelni. Czy to dobrze czy źle? Nie umiem ocenić. Kiedy pomyślę o tamtej kobiecie i jej synu, o tym, co mnie spotkało, dochodzę do wniosku, że czasem ludzie cierpieli ponad siły. Nie mam w sobie tyle odwagi lub pychy, by dostrzec w cierpieniu jakieś dobro. Jest nam łatwiej. Wiem tylko, że to nie jest jeszcze raj. Czeką nas długa droga. Mam przeczucie, że jeszcze kiedyś będę potrzebny.

- A jeśli nie?

- Będę czekał. Obcy nie odebrali nam wolnej woli, nie możemy zwać winy na nich, jeśli dokonamy złych wyborów. Musimy stać się nowymi istotami, lepiej zrozumieć siebie samych. Inaczej nie zniesiemy miliardów lat istnienia. Ani końca, który kiedyś nadejdzie, w stygnącym, coraz bardziej pustym Wszechświecie. Według Obcych Vitalina ulegnie rozkładowi, kiedy zgasną gwiazdy.

- Wtedy to nie wolna wola przygna ich do ciebie, tylko strach. Poza tym, nie doczekasz się. Ludzkość robi to samo, co Obcy przetransferuje świadomość do innego wymiaru. Będzie istnieć wiecznie.

- Wiecznie i samotnie, ludzie skazani na swoje własne umysły, bez żadnego punktu odniesienia, bez czasu? Może to właśnie jest piekło, nie sądzisz?

- O takich rzeczach mówisz wiernym na kazaniach?

- Przyjdź, to się przekonasz.

- Dzięki, ale chyba nie. Filozoficznie się zrobiło. Zwykle gadamy o pracy, Szymonie, Agacie, literaturze, filmach i planach na wakacje.

- Bo ty nigdy nie jesteś poważny. Żartujesz i zmieniasz temat.

- Obiecuję, że następnym razem też tak zrobię, żadnego filozofowania, będę narzekał na uczniów myślących Alpy z Andami i mamusię broniącą przede mną swoich dziubdziusiów. Nawet, kiedy spotkamy tych wszystkich kosmitów, którzy podobno gdzieś tam są i zniszczymy ich swoim przybyciem, nie powiem nic mądrego ani głębokiego. Będę się śmiał.

- Uważasz, że ich zniszczymy?
- Mój drogi, nieśmiertelna ludzkość to plaga, jakiej dotąd nie było. Dobra, muszę lecieć. Szymek zaraz skończy zajęcia. Dzięki za herbatę.
- Leć, leć. Żebyś się nie spóźnił!
- Zdążę. Cześć.
- Cześć. - Podali sobie ręce, Krzysztof wyszedł, zszedł po schodach. Ruszył przed siebie ulicą.

W Lublinie były miejsca nie odwiedzane przez nikogo, opuszczone, zapomniane. Stare bloki, kamienice, czekające na wyburzenie, zamieszkiwane tylko przez karaluchy i małe szczury.

Alojzy Kawka pamiętał tamtą piwnicę: cuchnęło w niej kurzem, wilgocią, pleśnią. Nie pamiętał za to, jak do niej trafił, minęło pół roku, a on co noc daremnie próbował sobie przypomnieć. Zimno przenikało do kości. Zgniły półmrok, brudna żarówka jako jedyne źródło światła.

On sam na krześle naprzeciwko nich.

Oni - bliźniacy. Niewysocy, szczupli, wręcz cherlawi, o jasnych, krótko ostrzyżonych włosach. Stali sztywno wyprostowani, w płaszczach przeciwdeszczowych, z których spływały krople wody.

Najbardziej zdumiał go brak strachu. Był całkowicie spokojny. Rozwagał przez chwilę ten dziwny stan, ten swój bezstrach. Bliźniacy pozwolili mu na to, widocznie nie musieli się spieszyć.

- Jesteś Alojzy Kawka? - Jeden z nich zadał pytanie niskim, pozbawionym intonacji głosem.

- Tak. A bo co?

- Chcesz umrzeć? - Pytał ten sam bliźniak. Drugi wciąż milczał.

- A możecie mi to załatwić? - Kawka zaśmiał się gorzko.

- Tak. Jeśli chcesz.

- Nie pieprz, dziwaku. Przecież nikt nie może umrzeć. Nikt nie umrze na tym przeklętym świecie!

- Możemy to zmienić. Za kilka miesięcy.

- Niby jak?

Powiedzieli mu. Poznał ich plan od początku do końca.

- To absurd! Ludzie nie mają takiej technologii.

- A jednak.

- Kim wy właściwie jesteście, co? Dlaczego to robicie?

- Czy to ważne, panie Kawka? Możemy być dla pana, kim pan tylko zechce. Fanatykami religijnymi. Terrorystami. Proszę wybrać!

- A jeśli pójdę na policję?

Tym razem odpowiedział drugi bliźniak.

- Nie, panie Kawka. Nie pójdzie pan.

Patrzyli na niego a on na nich, prosto w oczy. Pochłonęła go pustka, upragniona nicość. Ktoś zdjął ciężar z jego ramion: na krótko, tylko na chwilę.

A potem ból wrócił.

Wiedział, że nie pójdzie na policję.

- A dlaczego prosicie mnie o pomoc? Właśnie mnie?

- Potrzebujemy ludzi takich jak pan. Trzeba to zrobić wszędzie jednocześnie. Pomoże nam pan?

Zgodził się na wszystko.

W oszołomieniu przymknął na chwilę oczy, a gdy je otworzył, był na Krakowskim Przedmieściu, pośród tłumu ludzi.

Wrócił do domu. Nakarmił Szprychę, znaną tydzień wcześniej.

Od tamtego dnia nie należał już do siebie, przynajmniej nie do końca.

Nie przeszkadzało mu to.

Winda zjeżdżała powoli, bardzo powoli. W dół i w dół, piętro za piętro.

Agata zastanawiała się, co powiedzieć. Jakie pytania zadać. Kiedyś sądziła, że jeśli nadejdzie ta chwila, zapyta o coś ważnego, istotnego. Stanie przed Lustrem i wydarzą się rzeczy wielkie, świat stanie w miejscu, wstrzyma oddech... Tymczasem nie mogła znaleźć odpowiednich słów, w głowie pustka, ani jednej jasnej myśli.

Miała ochotę zawrócić, ale było za późno.

Wreszcie winda stanęła.

Otworzyły się drzwi.

Agata wyszła.

Pomieszczenie wielkości stu metrów kwadratowych, wysokie na dziesięć metrów pogrążone w półmroku, migające diody na ścianach.

Lustro stało na środku, oświetlone pojedynczą lampą. Wysokie, ciemne, nieprzeniknione.

Na gładkiej tafli jej własna twarz.

- Witajcie. - Twarz w Lustrze powitała Agatę uśmiechem. - Jak możemy wam pomóc?

- Chciałam wam zadać kilka pytań?

- Pytania. Pytania zadajecie, gdy nie wiecie. Chcecie wiedzieć. Wy nie wiecie, o co pytać. Jakimi słowami. Słowa, słowa, słowa. Nie bójcie się. Słowa nie są ważne.

- Mówiliście kiedyś, że Wszechświat jest prosty.

- Jest prosty. Logiczny. Jest jak my: struktura złożona z wielu elementów, tworzących całość, pracujących jak jedno.

- I wy zrozumieliście go? Rozumiecie go, ale nie chcecie nam przekazać swojej wiedzy, błądzimy po omacku, nie wiedząc, dokąd dojdziemy, bo nie wiemy, do czego powinniśmy dążyć, jaki jest cel naszego istnienia. Jaki jest cel istnienia tego wszystkiego.

- Dlaczego mówicie wciąż to samo? Te same słowa każdego dnia.

- Twierdzicie, że byśmy nie zrozumieli. Że musimy ewoluować, uczyć się, zmieniać. A mimo to uczyniliście nas nieśmiertelnymi. Znacie nas, przynajmniej znacie naszą historię. Nie pomyśleliście, że robicie nam krzywdę? A może o to wam chodziło? - Twarz w Lustrze i twarz kobiety patrzyły na siebie, próbując przeniknąć to, co ukryte za widzialną powłoką, twarz w Lustrze uśmiechnęła się, rozumiejąc daremność tej próby, Obcy sondowali ludzkie umysły, chwytając myśli ulotne, nieprzetłumaczalne obrazy - ślizgali się po powierzchni, nie dotykając istoty rzeczy, o czym doskonale wiedzieli: powierzchowność kontaktu z Innymi jest nieunikniona.

- Znamy wasze historie. Czym jest krzywda? To, co nazywacie krzywdą z innego punktu widzenia może być tym, co nazywacie dobrem. Jakiej krzywdy się obawiacie? Nie musicie cierpieć. Nie musicie walczyć. Możecie wybierać. Wieki temu zbudowaliśmy Lustra. Obserwowaliśmy czas i przestrzeń. Znaliśmy Wszechświat w każdym momencie jego istnienia. Początek i koniec - oba na raz. Wszystkie możliwe zdarzenia - jak pajęcza sieć, to, co się stało oraz to, czego nie było, a mogło być, splecione nici obejmujące całą materię od cząstek elementarnych po galaktyki i życie we wszystkich jego przejawach. A wszystkim tym rządzi przypadek. Nic, co było, jest lub będzie nie musiało zaistnieć.

- Czy można więc powiedzieć, że Wszechświat jest logiczny, skoro rządzi nim chaos?

- Chaos rodzi porządek, a porządek zawiera w sobie domieszkę chaosu, bez której nie mógłby istnieć. Wszechświat jest jednocześnie poznawalny i niepoznawalny. Dlaczego nas o to pytacie? Przecież wiecie

to wszystko.

- Czasem wiedza nam nie wystarczy. Musimy przekonać się sami. Doświadczyć. Dlatego tu przyszedłam: chciałam was poznać osobiście.

- I poznaliście nas?

- Nie wiem. Myślę, że nie. Ale nie oczekiwałam tego. - Usłyszała sygnał, znak, że musi kończyć rozmowę.

- Jeszcze jedno pytanie. Czy jesteście szczęśliwi?

- Jesteśmy spokojni. Żyjemy w doskonałej jedności. - Kolejny sygnał.

- Muszę już iść. Dziękuję.

- To my dziękujemy. Do widzenia.

Z ulgą wróciła na górę. Połączyła się z profesor Romańską.

- I jak wrażenia, pani doktor?

- Sama nie wiem. Oni są dość... zaskakujący.

- Cóż, niewątpliwie. Skoro już pani wróciła, proszę wracać do pracy. I ani słowa nikomu.

- Oczywiście.

Agata resztę dnia spędziła śledząc odczyty aparatury. Tamtego dnia nie wydarzyło się nic niezwykłego.

Agata siedziała przed lustrem, patrzyła na swoje odbicie: znajome i obce jednocześnie, ledwo widoczne, bo w pokoju było ciemno, w świetle latarni widziała tylko niewyraźny kształt. Krzysiek spał, zawsze miał mocny sen. Na poduszkach ułożyły się koty, najedzone i zadowolone. Wszyscy spali, ona nie mogła.

Myślała o „świętych”, co jeśli... Jak będą z tym żyć? Jak ona będzie z tym żyć? A może nie miała racji, wszystko będzie dobrze, żadnego bólu już do końca świata. Bo co, jeżeli jednak jej przeczucia były słuszne, mają pozwolić „świętym” cierpieć za ludzkość, by ta mogła niemal bez wysiłku zdobywać kosmos? Czy powiedzą Obcym, żeby odeszli, zerwali połączenie, przecież tak nie można. Oni rozumieją, muszą zrozumieć, kimkolwiek są, jakkolwiek myślą. Za dużo „jeżeli”, za dużo wątpliwości kłujących jak drzazga.

Jeżeli...

Rano Alojzy Kawka wstał, ogolił się i jak zwykle zabrał Szprychę na spacer. Pies szedł obok swego pana,

merdając ogonem, nie wiedział, że dziś jego życie zmieni się na zawsze.

Przez godzinę chodzili zabłoconymi uliczkami, nie zwracali uwagi na lodowatą mżawkę ani podmuchy wiatru.

Weszli do jednego z apartamentowców blisko centrum miasta. Szprycha była zaskoczona. Co to mogło znaczyć? Nigdy dotąd nie składali wizyt podczas spaceru. Suczka szczeknęła cicho, spojrzała na Kawkę, który podrapał ją za uchem i poprowadził korytarzem w stronę windy.

Szprycha jechała windą pierwszy raz w życiu, nie bardzo przypadło jej do gustu zamknięcie w ciasnej przestrzeni, ale widać tak chciał jej pan.

Kiedy wysiedli, podeszli do drzwi jednego z mieszkań, Kawka zadzwonił. Usłyszeli kroki. Ktoś otworzył.

- Ałojzy! To ty? Jak miło cię widzieć! Gdzieś ty się podziewał? - Kobieta pachniała miło, Szprycha od razu ją polubiła.

- Witaj, ciociu Konstancjo. Przepraszam, że cię nie odwiedzałem, byłem... zajęty.

- Przez dziesięć lat! Myślałam, że odleciałeś do kolonii. Ale nie będę cię trzymać w drzwiach, wchodź! Jaka miła psina. To twoja?

- Tak. Może wejść? Jest bardzo dobrze ułożona.

- Oczywiście. Mogę pogłaskać? Śliczne, kochane maleństwo. Uwielbiam zwierzęta, choć nigdy nie miałam własnego.

- Prawdę mówiąc, ciociu, przyszedłem właśnie w jej sprawie. Tylko się nie gniewaj...

- Ja miałabym się gniewać na ciebie? Nie stój, usiądź, zrobię coś do picia, chcesz?

- Ja tylko na chwilę, nie trudź się ciociu. Widzisz, muszę wyjechać na kilka dni. Tak mi nagle wypadło. Lecę na Europę, nie mogę zabrać Szprychy ze sobą. Czy nie mogłabyś się nią zająć, dopóki nie wrócę? Wiem, że to tak nagle, nie powinienem cię zaskakiwać, ale nie mam się do kogo zwrócić.

- Och, oczywiście.... To żaden kłopot, tylko...

- Tu mam jedzenie. - Wyjął z torby psią karmę oraz miskę. - Wielkie dzięki, naprawdę. To dla mnie bardzo, bardzo ważne. - Wstał, niezręcznie uściskał panią Konstancję.

- Muszę już iść. Do widzenia.

- Już wychodzisz, tak szybko! I nic mi o sobie nie opowiedziałeś, co robisz i w ogóle!

- Innym razem, ciociu. Naprawdę, muszę lecieć. - Spojrzał na zegarek.

- Cóż, dobrze. Nie martw się o psa. Zaopiekuję się nim.

- To suczka. Ma na imię Szprycha. - Podeszedł do psa i odpiął smycz. - Przepraszam maleńka. Wszystko

będzie dobrze. - Przytulił ją i ruszył do drzwi. Zdezorientowana Szprycha chciała iść za nim, ale pani Konstancja ją zatrzymała. Kawka odszedł.

Szprycha skamlała cicho pod drzwiami. Słyszała jadącą windę, stanęła, zjechała na parter. Potem zapadła cisza.

Szprycha nie rozumiała, dlaczego musi zostać. Położyła się pod drzwiami. Zamierzała ogonem, gdy kobieta ją pogłaskała, ale nie chciała wyjść z przedpokoju.

Jeśli trzeba, będzie czekać.

Nawet cały dzień.

Kawka jechał elektrobusem, niemal pustym o tej porze. Co chwilę patrzył na zegarek. Dochodziło południe.

Zdawało mu się, że wszyscy na niego patrzą, jakby podejrzewali go o złe zamiary, choć tak naprawdę nikt nie zwracał na niego uwagi.

Za oknem szaro, deszcz rozpadał się na dobre, zmywając resztki śniegu. Ludzie poznikali z ulic, nawet robotów było jakby mniej niż zwykle.

Włożył rękę do kieszeni. Nie mógł tego zgubić.

Wysiadł na ostatnim przystanku, poza miastem.

Stał tam tylko mały, niepozorny budynek, nic więcej, wszyscy jednak wiedzieli, co kryło się pod ziemią.

Kiedy zegarek wskazał dwunastą, wyjął z kieszeni fiolkę i otworzył.

Przez moment nic się nie działo. Nagle ziemia zadrżała. Jasne światło oślepiło Kawkę.

I było po wszystkim.

Gdy Kawka otworzył fiolkę, miliardy drobin mniejszych od najmniejszych ziaren materii przeniknęło przez ściany Centrum i weszło w Lustro. Na ciemnej tafli pojawiły się rysy. Zwierciadło pękło, odłamki pokryły podłogę, lśniąc od migających diod.

Ziemia jęknęła. Na całym globie, statkach kosmicznych, we wszystkich ludzkich koloniach w jednym momencie Lustra przestały istnieć.

Połączenie zostało przerwane.

Przerywamy wiadomości, by nadać ważny komunikat...

Mamo! Mamo, co ci jest? Mamusiu!

Ratunku! Pomocy! Po...

Niech ktoś mi pomoże!

Pani Konstancja siedziała przed lustrem. Patrzyła na własne odbicie. Pomarszczona skóra. Siwe włosy. Ból w stawach.

Usłyszała krzyk na korytarzu. Podeszła do drzwi, choć serce biło za szybko, nogi osłabły i brakowało jej tchu.

Wyjrzała przez wizjer. Ktoś leżał na podłodze.

- Panie Władku! Panie Władku! - Brak odpowiedzi. Otworzyła. Powoli podeszła do nieruchomego ciała, uklękła przy nim. Szprycha tymczasem skorzystała z okazji: uciekła z mieszkania, schodami przeciwpożarowymi zbiegła na dół. Automatyczne drzwi wypuściły z budynku.

Biegła ile sił w łapkach, nie zwracając uwagi na to, co działo się wokół. Wiedziała, że musi jak najszybciej dotrzeć do domu.

Kawka zamknął okno, odcinając się w ten sposób od świata. Nie chciał, by rozpraszały go krzyki ludzi czy wycie syren. Potrzebował spokoju.

Popatrzył na szare niebo, drzewo marniejące na podwórku, targane podmuchami wiatru. Cieszyła go ta pogoda.

Zawsze uważał, że nie ma nic bardziej upiornego niż bezchmurne, błękitne niebo i soczyście zielone rośliny, brzęczenie owadów w rozśłonecznione, leniwe popołudnie, gdy na dnie tego wszystkiego rozkład, śmierć ukryta, lecz realna, pod kruchą powłoką życia.

Położył się na łóżku. Wyjął z kieszeni pudełko, a z niego małą tabletkę, niewiele większą od ziarenka gorczycy i połknął. Śmierć przyszła natychmiast. Szybka jak światło, jak ono nie zważająca na czas ani przestrzeń.

W mieszkaniu zapanowała głucha cisza., tylko deszcz uderzał o szyby.

Godzinę później rozległo się ciche skomlenie, drapanie w drzwi.

Szprycha wróciła do domu.

Szprycha pędziła ulicami, nie zważając na to, co działo się wokół. Miasto ogarnął chaos, wycie syren, krzyki ludzi, panika, otwarte rany krwawiły, młodzi ludzie zmieniali się w starców. Wszystko stanęło, to

koniec, prawdziwy koniec świata. Tylko Szprycha biegła prosto przed siebie, do domu, przeskakując nad leżącymi, omijając zwinnie wszelkie przeszkody. Prowadził ją instynkt.

Dom. Tam było bezpiecznie. Inaczej niż na ulicy, koło śmietnika, gdzie chłostały ją deszcz i wiatr, małego szczeniaka, który nie rozumiał: dlaczego? Gdy głód ściskał jej żołądek, skurczył ją, wysuszył tak, że nie przypominała już psa, znalazł ją jej pan. Zabrał do ciepłego miejsca, zawsze pełnego jedzenia. Do domu. Dał jej imię, Szprycha: tak była wychudzona.

Dom to bezpieczne miejsce.

W wejściu do kamienicy ktoś leżał, swoim ciałem blokował otwarte drzwi. Szprycha podeszła, obwąchała: coś dziwnego, inny, obcy zapach czegoś nieznanego, tajemniczego, tak samo pachniały martwe ptaki i szczury na śmietniku. Zapiszczała cicho, psi instynkt nie wystarczał, by pojąć, by zrozumieć. Ominęła ciało ostrożnie, cichutko. Pobieгла na górę. Zaszczekała, drapała zamknięte drzwi. Cisza. Nikt nie otworzył. Już nikogo tam nie było.

Poprzewracane stoły i krzesła. Porozbijane ekrany. W probówkach „święci”: pomarszczeni jak rodzynki, niewiele z nich zostało. Wszyscy przerażeni, przyciskali się do ścian podobni do zaszczutych zwierząt, szukali kryjówki, nory, może tam nie zostaną znaleźieni, nie dopadnie ich śmierć, sąd, gniew Boga, czy kogokolwiek, kto zamienił świetlaną przyszłość w zgrzytające pod butami rozbite szkło, zbiecie lustra przynosi pecha.

Agata szła pomiędzy nimi, zaglądała ludziom w twarze. Gdzie on się podział, miał tu być dzisiaj?

- Piotrek! Piotrek!

Siedział pod ścianą. Nie słyszał wołania siostry. Nie widział jej. Pochłonęła go ciemność.

Szprycha czekała, ale Kawka nie otwierał drzwi. Obce kroki na ulicy, syreny. Na jednym z pięter skrzypnęły drzwi, ktoś wyjrzał na korytarz.

Kroki na schodach, ciężkie, powolne. Pukanie. Głosy.

Jacyś ludzie wspięli się na piętro Kawki, Szprycha zaszczekała: wstała, choć osłabił ją głód, wiele godzin czekała na pomoc. Czemu tak zwlekali?

Nie wiedziała, ile godzin, a może dni minęło.

- Cicho piesku, cicho. Mieszkasz tu?

- Zostaw psa, nie mamy czasu. Wiesz, ile mieszkań zostało, padam z nóg. Halo, halo, jest tam kto?- Załomotał w drzwi, żadnej odpowiedzi. Szprycha zaniepokoiła się, że odejdą.

- Chyba nikogo nie ma.

- Skąd wiesz? Mógł zasłabnąć.

- Albo umrzeć. To co, wyważamy?

- Halo, policja! Proszę otworzyć! Dobra, otwieramy! - Drzwi otworzyły się z hukiem. Znaleźli Kawkę w jego sypialni, na łóżku. Podeszli, sprawdzili tętno.

- No, temu już nie pomożemy. Niech zabiorą ciało. kolejny trup, dla którego trzeba szybko znaleźć miejsce.

Szprycha wsunęła się cicho do pokoju. Nikt nie zwracał na nią uwagi, dopóki nie zaczęła wyć.

- A ten czego?

- Myślisz, że to jego pies?

- Nie mam pojęcia. Co robił na zewnątrz?

- A bo ja wiem?

- Co z nim będzie?

- Psy to nie nasz problem. Niech go sąsiedzi wezmą. Możesz popytać później, jak chcesz, teraz mamy robotę.

Zwłoki wyniesiono. W mieszkaniu nic się nie zmieniło, poza tym, że Szprycha została w nim sama.

Ktoś chciał ją zabrać, głaskały ją obce dłonie, ale ona nie mogła odejść. Jak pies mógłby porzucić swój dom? W końcu ktoś nalał jej wody, wysypał karmę do miski. Odszedł. Zamknął drzwi, żeby ochronić dom przed złodziejami, choć nie wiedział, dla kogo niby? Może wróci jutro, a może nie.

Szprycha leżała na podłodze, zapadła noc. W zamku zazgrzytały klucze.

- Jest tutaj, proszę pani. Nakarmiłem ją. Pani jest... była jego ciotką? Przykro mi.

- Dziękuję panu. Taki pan dobry. Kto inny by się nie przejął. Pan go znał?

- Nie bardzo, tylko z widzenia. Nie był zbyt towarzyski. Tu są klucze, proszę. Pójdę, już, żona się martwi.

- Jeszcze raz dziękuję. Do widzenia.

Pani Konstancja weszła do pokoju. Przyklękła przy suczce, objęła ją. Płakała. Szprycha położyła jej łeb na kolanach. Wkrótce zasnęła, wtulona w miękkie, ciepłe ciało kobiety.

Z głębokości grzechów moich....

Piotr leżał w łóżku, w pokoju Agaty. Czekał aż wróci. Jak dawno wyszła?

Wołam do Ciebie, Boże, lecz nie odpowiadasz...

Jest dzień czy już noc?

Ciemność, nieprzenikniona czerń, martwa cisza. Zdawało mu się, że coś z tego mroku wypełźnie, chwyci go za kark, ale nic tam nie było. Tylko jego własne ja.

Dlaczego? Co ja zrobiłem?

Delikatny dotyk na rękę. Wzdrygnął się, zaskoczony. To ona. Agata.

- Hej. Już jestem. Jestem przy tobie. - Czuł litery na skórze, wypisywane jej palcem, tak wyraźnie, uważnie, żeby zrozumiał.

- Kocham cię. - Poczuł łzy na policzkach. Przytuliła go. Trzymała go za rękę, aż zasnął.

Krzysiek siedział przy stole w kuchni, przysunęła drugie krzesło, usiadła obok. Milczeli, trzymali się za ręce, zmęczeni.

- Jak sytuacja? - Krzysztof zadał to pytanie szeptem, głaszcząc delikatnie jej włosy, szukając w jej bliskości wytchnienia.

- Mnóstwo rannych, chorych, bez zmian. Po przerwaniu połączenia z Obcymi, wszystkie uszkodzenia, wchłonięte przez „świętych” wróciły. Nie nadążamy z opatrywaniem, z grzebaniem zmarłych. Wybuchają zamieszki. Boże, Krzysiek, co my zrobimy?

- Przetrwamy. Jak wiele razy przedtem. Będziemy razem, przecież. Kocham cię. Nadal nie wiadomo, co się stało?

- Nie. Myślisz, że to kara?

- Raczej atak terrorystyczny. Poza tym, kto miałby nas karać?

- Szymek śpi.

- Długo nie mógł zasnąć. Zadawał pytania. Bał się o ciebie.

- Jestem wykończona Krzysiek. Mam dość dzisiejszego dnia, przeraża mnie jutrzejszy. Chodźmy spać. Nie rozmawiajmy, tylko odpocznijmy razem. Za kilka godzin muszę wstać. Dobrze?

- Dobrze. Chodź.

Leżeli na materacu w kuchni. Słyszeli wycie syren, pomimo zamkniętych okien. Spali aż do świtu.

Bliźniacy patrzyli przez okno. Słońce wschodziło nad miastem, które nie spało tej nocy, nie miało spać spokojnie podczas kolejnych. Wiatr rozwiewał dym pożaru, ktoś coś podpalił, karetki jeździły bez przerwy, szukając potrzebujących, których było zbyt wielu.

- Meldunki są pomyślne. Operacja się udała. Wszyscy zwербowani wykonali zadanie o wyznaczonej porze. Bez nich by się nie udało, tylko kilka par było w stanie przybrać ludzką formę.

- Jesteśmy bezpieczni. Ta rasa już nam nie zagraża. Gdyby doszło do wojny, będziemy mogli ich pokonać. A jak walczyć z nieśmiertelnymi? No ruszajmy wreszcie. Chciałbym znów być sobą.

Zniknęli, jakby nigdy ich nie było.

Tymczasem Lublin witał kolejny dzień.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

JoannaP, dodano 03.08.2018 13:04

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.